

WYGRAŁEM ZE ŚMIERCIA

Byłem wolny! Po pięciu latach i pięciu dniach. Ja, numer 752, strzęp ludzki, na którego szczuto psy, „polski bandyta” znowu zostałem człowiekiem. To co przeszedłem niech będzie przygodą. Przecież żyję. Z tej zawieruchy wyniosłem całą głowę i ręce. To wystarczający majątek - wyznaje Józef Stós, były więzień Oświęcimia. Wolność docierała do nas stopniowo. Zaczynała nabierać realnych kształtów. Aż wreszcie przywrócono nas społeczności. Zostawiliśmy za sobą nadane numery. Wzięliśmy odebraną nam godność, a na swoje barki własny, bo przez siebie przeżyty obóz.

Rudy, Golus i karny raport

W Oświęcimiu Józef Stós był więziony do 28 października 1944 r. Później wywieziono go do jednej z filii Buchenwaldu - w Hadmersleben. Przyjechał tu pociągiem w zamkniętym wagonie towarowym.

- Trafiłem dobrze - wspomina, bo do małego komanda - fabryki. Spodziewałem się mniej okrutnego traktowania. Dostałem więzienne ubranie i numer. Pracowałem w obozowym zakładzie urządzonym w kopalni. Tam otrzymałem polecenie, żeby ustawić się na końcu komanda wychodzącego do fabryki AEG/O. Jeżeli była nadwyżka chociaż jednego więźnia, komendant wyciągał mnie z szeregu i kazał zostawać na boku. Takie „wyróżnienie” stawało mnie w lepszym świetle w oczach więźniów. Był to jedyny esesman, z którym się witałem. Od niego mieliśmy bieżące informacje z frontów.

Józef Stós, Gienek Rudziński i Józef Sroka, podobnie jak w Oświęcimiu, tutaj też trzymali się razem. Przydzielono ich do narzędziowni.

- Praca była ciężka. Jednak nie to tak nas wykańczało - mówi pan Stós. Najgorsze było spotkanie z kapo Golusem, mordercą. Dużo wiedziałem o jego brutalnym postępowaniu. Poznanie takich wiadomości dawało możliwość odpowiedniego zachowania się w pracy. Nie byłem jednak świadkiem żadnego z jego wyczynów. Nie mogłem więc zeznawać przeciw niemu. Wtedy dowiedziałem się od zdenerwowanych współwięźniów, że jestem taki sam jak on. Uratował mnie blokowy - Czech, z którym byłem kiedyś w Auschwitzu.

Józef Stós wyznaje, że w tym okresie wszyscy chodzili rozdrażnieni. Osiemna-

ście godzin na nogach, stale głodni. Powietrze w obozowej kopalni bardzo suche - twierdzi. Musieliśmy zakładać ciężkie drewniane trepy. Tymczasem na powierzchni trzeba było przejść ponad sześć kilometrów. Jezdnia była przeważnie oblodzona. Idąc piątkami trzymaliśmy się pod pachy.

Pewnego dnia obozowi vorarbeiterzy formowali „setkę”. Zaczęli każdego ustawić, poprawiać. Między nimi a nauczycielami doszło do kłótni.

- Wtedy ja chwyciłem vorarbeiterów za kołnierze - opowiada. Powiedziałem, że jak nas Niemcy nie nauczyli porządku, to oni niech tego nie robią, bo im porozbijamy łby. Wtedy postanowili się zemścić. Kiedy wyjeżdżałem z kopalni, zasnąłem w windzie. Vorarbeiterzy mnie nie obudzili. Mogłem zostać posadzony o ucieczkę. Czekałem na



komendanta i karny raport. Wcześniej wezwał mnie główny schreiber - Czech, z którym zawarłem bliższą znajomość. On mi powiedział: „Idź się położyć do swojego bloku. Jak przyjdzie komendant, to cię zawołam”. Czekam na ten karny raport do dziś. Koledzy też, jeśli jeszcze żyją.

Zmora tego obozu był zastępca blokowego - Niemiec „Rudy”, wciąż niezadowolony z panującego porządku. Rano krzyczał, był więźniów. Postanowili go wykończyć.

- Sam się przekonałem, że na to zasługuje - mówi pan Stós. Mojego kolegę pobili do nieprzytomności. Twierdził, że ten ukradł pajdę chleba. Kiedy zobaczyłem Józka, był cały pokrwawiony. Obok niego stał zaspapany, bluzgający śliną „Rudy”.

Mimo ogromnego zmęczenia, niedożywienia, niewyspania więźniowie zaczęli odczuwać radość. Zwłaszcza wtedy, gdy zobaczyli sunące po niebie alianckie samoloty. Koniec wojny był coraz bliższy.

10 kwietnia 1945 r. przebywających w obozie w Hadmersleben ewakuowano.

- Komendant zwołał wszystkich na plac apelowy. Powiedział, że ma rozkaz zamurowania nas w podziemiach. Chciano zatrzeć ślady zbrodni - wyznaje. Nie zrealizowano tego planu. Wyszliśmy z obozu. Esesmani maszerowali obok kolumny. W przydrożnych rowach widzieliśmy porzuconą broń, amunicję, pasy wojskowe ... Nasi oprawcy nie zapomnieli jednak o swoich makabrycznych zabawach. Bo jak można to inaczej nazwać, gdy puszkę z melasą obcinali tak, by w wieku na całym obwodzie powstały wycięcia w ząbki. Temu, który pierwszy dobiegnie, kapo pozwalał wsadzić rękę do puszki z melasą. Prawie równocześnie następni zanurzali swoje dłonie. Potem wszyscy wyciągali pomazane melasą i krwią ręce z po-

rwaną na nich skórą. Innym razem na końcu podwórza wstawiali wannę z resztkami makaronu. Tego, który był najszybszy, wpychali do wanny następni. Nikt nic nie zjadł. Chyba, że policzyć to, co ktoś miał na ubraniu, na głowie, czy za kołnierzem, a co powyciągali koledzy.

Porcje żywności w obozie były prawie żadne. Dziennie więźniowie dostawali łyżkę stołową śrutowanego żyta. Początkowo były dwie - wysypywane na dłoń.

Kwitnące magnolie i wolność

- Flossenbürg to kolejny etap naszej obozowej gehenny. Coraz częściej mówiło się, że zbliża się nasz koniec - wspomina pan Jó-

zef. Jechaliśmy w górę rzeki. Cudowna pogoda, prześliczny krajobraz. Zaczynały kwitnąć magnolie. Gdyby nie głód, chyba gorszy od myśli o tym co z nami będzie, można by oczy napawać tym widokiem. Marzyłem, aby kiedyś odbyć tę trasę właśnie o tej samej porze roku, lecz z pełnym żołądkiem.

Więźniów załadowano na barki z myślą o zatopieniu ich w Łabie. Niemcy do tego nie dopuścili. Obawiali się zatrucia wody. Na „berlinkach” skazańcy płynęli Łabą przez pasmo Sudetów. W miejscu, gdzie ta rzeka opływa wyspę, zakotwiczyły trzy barki. Stąd postanowili uciec. 8 maja 1945 r. pod eskortą dwóch esesmanów Węgrów, opuścili wyspę. Było ich pięćdziesięciu: dwudziestu Polaków i trzydziestu Rosjan.

- Co sprytniejsi i zdrowsi wyszli na wysokie drzewa, by złapać młode wrony i kawki. Zapaliliśmy ognisko. Szykowaliśmy żołądki na młode ptaki - mówi Józef Stós. Później poszliśmy dalej. Znaleźliśmy się poza frontem. Nie mieliśmy pojęcia gdzie jesteśmy i dokąd zdążamy. Ja wiedziałem jedno - jestem wolny ! Krzychałbym z radości, gdybym odważył się choć na chwilę stanąć. Na dodatek dokuczał mi żołądek. Może to zaszkoziły mi te wrony, które niestety jedliśmy na pół surowe. Ale to nic. Przecież wracaliśmy do ojczyzny, do bliskich, by zacząć nowe życie. Na razie byliśmy dopiero w Czechosłowacji. Wychudzeni, o jednakowym, szarobrazowym wyglądzie. Różniliśmy się tylko wzrostem. Czesi brali nas do każdej rozprawy sądowej, aby nie mieć wahań przy ferowaniu wyroków śmierci. Rozstrzelanym do wyrw po ustach wkładano posiadane przez nich odznaczenia.

Kto ci kazał być w obozie

Uciekinierzy pożegnali się w Morawskiej Ostrawie. Poszli w różne strony, aby się już nigdy nie spotkać.

- Mosty były zerwane. Pociągi kursowały na trasach między nimi. Jakoś przedostaliśmy się na drugi brzeg - wyznaje pan Józef. Z Bogumina do Krakowa jechałem pociągiem w krytym wagonie towarowym, tak jak opuszczałem Auschwitz. Nie było już esesmanów, drutów kolczastych. Udało mi się nawet zasnąć. Jednak przebudziłem się i ogarnął mnie strach. Pociąg zatrzymał się w Oświęcimiu. Trudno było się oswoić z myślą, że przecież jesteśmy wolni i że to tylko stacja kolejowa Oświęcim.

W pociągu ludzie różnie się zachowywali. Józef Stós jechał do Brzeska-Okocimia wraz ze swoimi kolegami. Zygmuntem Kamińskim i Gienkiem Rudzińskim.

- Zygmunt był bardzo słaby - opowiada. Poprosił, aby nacisk trochę zmniejszyć, bo

zemdleje, a wraca do domu po ponad pięcioletnim pobycie w obozach. „A kto ci kazał być w obozie ?! - rozległ się głos. Przed napastnikiem wybronił nas pewien SOK-ista, który jechał na święta do swoich. Podzielił się z nami chlebem i gotowanymi na twardo jajkami. Tego dnia były to nasze pierwsze kęsy.

Byłem znów człowiekiem

- Wróciłem do domu 20 maja 1945 r. Krewni, przyjaciele, znajomi urządzili mi powitanie. Grała nawet muzyka, a ja nie miałem sił tańczyć. Najpierw poszedłem do odwzienia. Później była kąpiel w wannie, pierwsza po pięciu latach - wspomina więzień. Po zmianie ubrań usiadłem za stołem. Posługiwałem się językiem obozowym, niezrozumiałym dla innych.

Na drugi dzień pan Józef poszedł do kościoła. Ubrał sobie swój mundurak sprzed sześciu lat. Ktoś podczas mszy wyszeptał: „ale on chudy”.

- Nie przejmowałem się takimi uwagami. Byłem wolny ! Po pięciu latach i pięciu dniach. Ja, numer 752, strzęp ludzki, na którego szczuto psy „polski bandyta” znowu zostałem człowiekiem. Odzyskana wolność „rozsadzała” mnie. Głowę miałem zapelnioną składanymi w obozie zobowiązaniami. Organizm jednak się poddał. Miałem opuchnięte nogi, zdeformowaną głowę, bo na nosie i za uchem pojawiły się ropnie. Zgodziłem się na „końską” dawkę. Poskutkowało. Sztucznie wywołaną temperaturę 42^o przetrzymałem.

Pan Józef chciał przygotować się do matury. Nie mógł jednak wysłuchać żadnego wykładu. Po kilku minutach zasypiał na siedząco. Uczyl się więc z kolegami: Mieczysławem Kogutem i Bolesławem Zdunkiem. Podczas zdawania egzaminu dojrzałości towarzyszyła im tematyka obozowa. W wypracowaniu z języka polskiego więzień nr 752 napisał:

„Robiłem wszystko, aby uniknąć śmierci. Pracowałem, mimo że opuchnięte nogi nie chciały nosić szkieletu, jakim wtedy byłem, mimo że porożrywane mięśnie rąk przy każdym ruchu sprawiały cierpienie, a głowa jakby pozbawiona równowagi, kiwała się na wszystkie strony. W niej były tylko oczy, które widziały wszystko: to straszliwe znęcanie się nad bezbronniymi więźniami, ich walkę o ziemiaka czy brukiew. Słyż za tymi, których wsadzono do karetki, we wnętrzu której czekała śmierć. Za tymi, którzy szli do łaźni, by tam ginąć przez uduszenie gazem. Nie rzuciłem się na druty. Wstrzymywałem mnie jakiś niezależny od woli instynkt życia i myśl, że mogę przetrzymać, wrócić do swoich”.

Pan Józef postanowił wziąć udział w

normalnym życiu, w którym nie byłby już numerem, ale człowiekiem. Chciał zatrzeć koszmarnie wspomnienia i poświęcić się budownictwu. Zapisal się więc na Wydział Architektury Politechniki Krakowskiej. Po ukończeniu studiów pracował m.in. w Biurze Projektów przy Zarządzie Budownictwa Wojskowego w okręgu bydgoskim, później w Górniczym Biurze Projektów oraz Biurze Przemysłu Skórzanego w Krakowie, pełniąc we wszystkich zakładach kierownicze funkcje. Od 1978 r. jest na emeryturze. W tym czasie społecznie kierował pracami związanymi z budową kościołów w Złotej i Kątach Iwkowskich.

Obóz się nie skończył

Józef Stós należy do warszawskiego Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Oświęcimiem. W tym mieście bywa co roku w dniu oswobodzenia obozu.

Do Oświęcimia po raz pierwszy po powrocie stamtąd pojechał z wycieczką na Święto Wszystkich Świętych w 1945 r. Nie wiedział, że wśród zwiedzających była żona inżyniera Gancarza, którego Niemcy powiesili w obozie.

- Kiedy podeszliśmy do szubienicy - wspomina, wszystkim oznajmiłem, że zginął na niej mój przyjaciel. Wtedy ta kobieta się rozplakała.

Ludzi było mnóstwo. Przed każdym blokiem odprawiano nabożeństwa. Nie były ważne: narodowość czy wyznanie religijne. Więźniowie mieli te same przeżycia. To piętno wynieśli na całe życie.

- Nie da się zapomnieć potwornych lat tragedii ludzkiej, którą zgotowali ludzie ludziom w przekonaniu, że im wolno, bo są rasą übermensch. Trudno dzisiaj wyrazić to, co znaczy być głodnym, zwłaszcza jeśli takie uczucie towarzyszy człowiekowi przez lata. Handel i kradzieże były na porządku dziennym. Ja jednak wiem, że przeżyłem obóz w sposób nie upadający człowieka - mówi. Zawdzięczam to głównie patriotycznej i religijnej atmosferze, w jakiej zostałem wychowany, przyjętym zasadom. Byłem harcerzem i członkiem Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej Sodalitacji Mariańskiej. Tym wartościom pozostałem wierny w obozie. Wiara pomogła mi przetrwać. Nigdy nie zwątpiłem. Wmawiałem sobie, że Niemcy muszą przegrać wojnę.

Od tego czasu minęło ponad pół wieku. Pan Józef wielokrotnie był w Niemczech.

- Spotkałem się tam z objawami zycziwości - wyznaje. Traktowano mnie z szacunkiem. Ale jedno jest pewne - opuściłem miejsce odosobnienia, lecz obóz dla mnie się nie skończył.

Renata Skórnóg